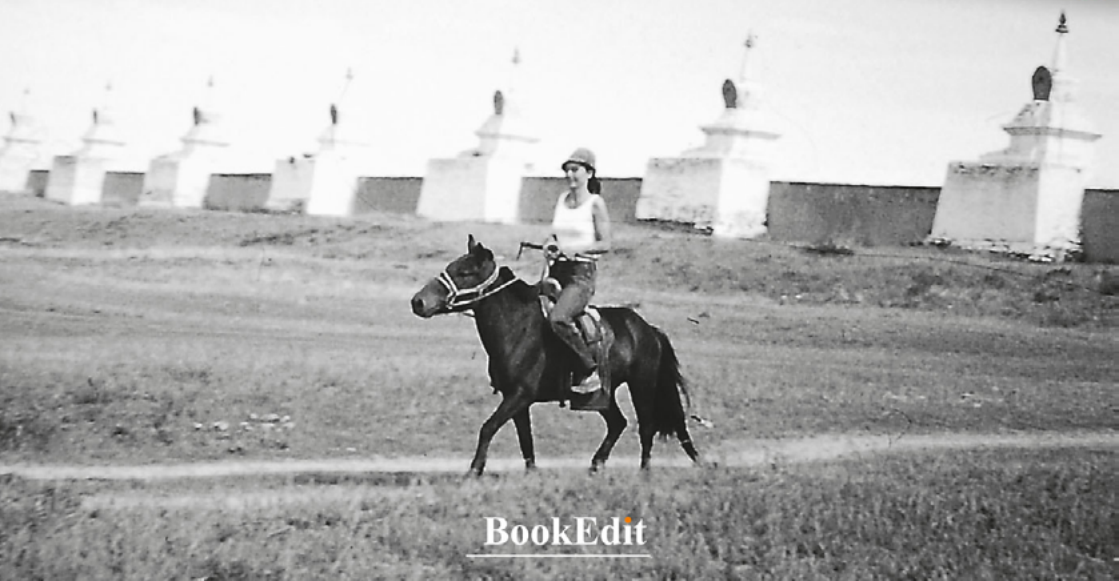


ANNA KALINOWSKA

★ PIĘKNY MAFIOSO Z KC

*i inne opowiadania
podróżującej
po krajach bloku*



Natchnienie do chodzenia pochodzi z nieba.

Trzeba się urodzić wędrowcem

HENRY DAVID THOREAU

ANNA KALINOWSKA

★
PIĘKNY MAFIOSO Z KC

*i inne opowiadania
podróżującej
po krajach bloku*



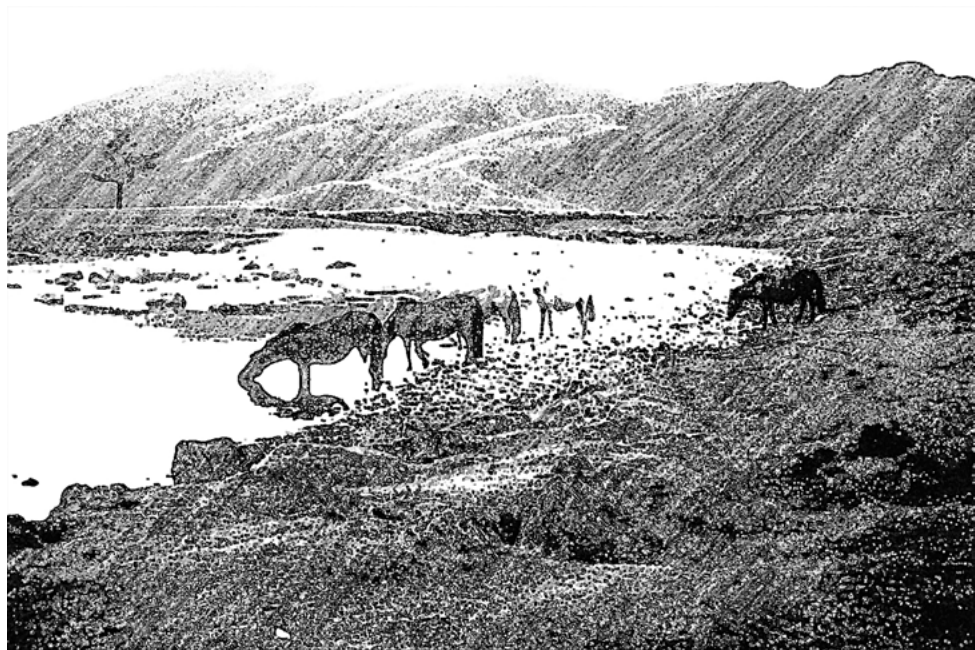
BookEdit

[Kup książkę](#)



Spis treści

Wprowadzenie.....	7
Piękny mafioso z Komitetu Centralnego.....	11
Złota epoka armeńska.....	57
Sekret mongolskiej baranicy.....	123
Moja noc z berlińczykiem.....	201
Szklane oko kubańskiej ropuchy.....	241
Mało wesołe wesele w Nachodce.....	265



Wprowadzenie

Przekonanie, że podróże kształcą, a płynąca z nich wiedza dojrzewa w miarę upływu czasu, zachęciło mnie do opowiedzenia kilku charakterystycznych epizodów z moich wojaży z lat 70. i początku 80. zeszłego wieku do państw z ówczesnego kręgu realnego socjalizmu. Do krajów, które dziś, z perspektywy ludzi młodych, widziane mogą być jako swoiście egzotyczne. Tak się złożyło, że życie tak zawodowe, jak i prywatne dostarczyło mi sporo okazji zobaczenia miejsc już dziś nie do poznania.

Wiele wyjazdów, na przykład do Mongolii czy na Kubę, zawdzięczałam swojej profesji biologa ekologa oraz przychylności uczelni, która w czasach reglamentowanych przez władze paszportów i dewiz wspierała „dla rozślawienia nauki polskiej” udział w badawczych wyprawach i konferencjach. Skromne to było wsparcie i dopięcie budżetu wyjazdu wymagało własnej przedsiębiorczości, co samo w sobie stanowiło wyzwanie. Potem, już w krajach docelowych, spotkania i przypadki niczym w brawurowym filmie przygodowym otwierały okno na zupełnie nieoczekiwane sprawy i zjawiska. I to ze sfery niekoniecznie

przyrodniczej. Często zdumiewam się sama, jak mi się „coś takiego” mogło przydarzyć.

Gdybym wspominała epokę realnego socjalizmu jedynie z polskiej perspektywy, pewnie uważałabym, jak wiele znanych mi osób, że spośród innych nacji żyjących w tamtym systemie zostaliśmy przez jego represje, niedostatki i absurdy szczególnie dotknięci. Jednak wyjazdy dostarczały mi bezpośrednich świadectw, jak zbieżne z naszymi były doświadczenia mieszkańców krajów, które w wyniku rządzeń historii znalazły się pod tym samym co my niebem. Niebem z czerwoną gwiazdą. Cień, jaki ta zła gwiazda rzucała, nawet w odległych krajach świata, na życie zwykłych ludzi, powodował, że łatwo znajdowaliśmy wspólny język mimo różniącej nas kultury i różnych narodowych tradycji.

Takimi zbieranymi w podróżach okruchami „czasu słusznie minionego” pragnę się podzielić w zbiorze opowiadań (jak kto woli – retro reportaży z autopsji), których kanwę stanowi to, co przydarzało mi się w krajach moich wyjazdów, a scenariusze pisało na kolanie samo życie. Te historie podróżne osadzone w scenerii przyrody miejsca akcji stają się moją prywatną kroniką spotkań z ludźmi w państwach bloku „najlepszego z systemów” lub z tym blokiem sąsiadujących. Poniekąd wdzięczna jestem losowi, że zafundował mi tyle zbiegów okoliczności, podrzucając te niezwykle, a zarazem uniwersalne historie osób, z którymi przebiegały moje drogi.

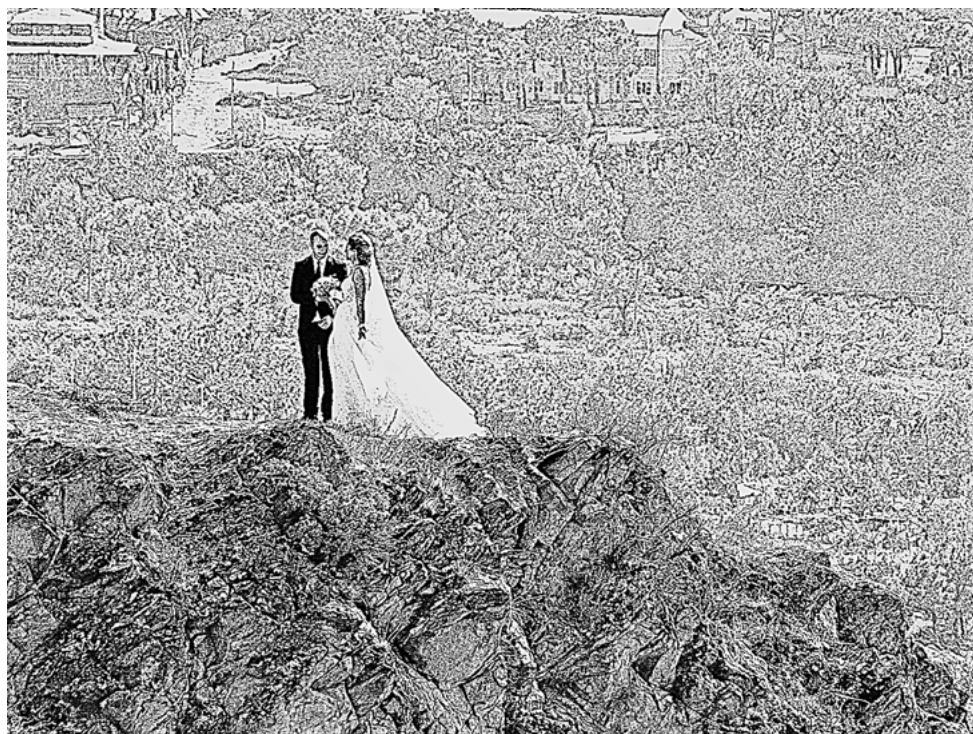
Wiele wątków z tamtych lat ma też, często zaskakujący, ciąg dalszy. I to w czasach już po transformacji w Polsce i po rozpadzie ZSRR, a nawet w czasach zupełnie współczesnych. Jak las odrastający po pożarze z przetrwałych w ziemi nasion... Czas sprawia, że te moje spisane

Wprowadzenie

przygody, niemal pamiętnik odtwarzający klimat tamtych lat, doprawione są już szczyptą refleksji retrospektywnej. Konstatacją, że czarne strony życia w cieniu czerwonej gwiazdy były trudną próbą, ale też sprzyjały kreatywności zwykłych ludzi poszukujących alternatywnych sposobów na życie.

Realia nawet niezbyt odległych okresów historii szybko wyparowują z pamięci, a to one w znacznym stopniu moderowały zdarzenia i relacje z ludźmi. I, paradoksalnie, ciągle mają niebagatelny wpływ na teraźniejszość. Więc jeśli o tamtych czasach opowiadać, to jak nie w roku 2023, w ponad trzydzieści lat od końca epoki symbolicznie zamkniętej rozpadem ZSRR i wyjściem wojsk z czerwoną gwiazdą z państw wyzwolonych spod dominacji „imperium zła”.

Niestety, tragiczne doświadczenia ostatnich miesięcy napaści Rosji na Ukrainę to dowód, że imperium trwa nadal. W najbardziej krwawej wersji jak obudzona Godzilla wyłania się spod warstwy maskującego pyłu pozorów. Daliśmy się tym pozorom zwieść, wspomnienia lat pod czerwoną gwiazdą ulegały przedawnieniu, bo wiek koroduje pamięć bezpośrednich świadków, powodując nieodwracalne ubytki w pamięci zbiorowej. Konsekwencją takiej „sklerozy z zaniedbania” bywa, że gdy milknie pamięć, cichną i sygnały ostrzegawcze. Niech więc nie zmyli Czytelnika lekki ton narracji...



Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

Kompanom kaukaskich wojaży

Jest kilka takich przedmiotów „sprawczych”, czyli rzeczy, które mimowolnie inicjowały jakiś ciekawy epizod w moim życiu, a nawet cały ciąg niezwykle zdarzeń, za które mogę być wdzięczna gospodarczemu rozpasaniu epoki Gierka. Jednym z takich czarodziejskich gadżetów, rzuconych do polskich sklepów przez uchylone przez towarzysza Edwarda drzwi handlowego sezamu Zachodu, były niewątpliwie te sandały. Obuwia letniego tak luksusowego, jakby przyniesionego w dzióbkach jaskółek wprost z najnowszych kolekcji włoskich dyktatorów mody, nie miałam nigdy przedtem. Ani nigdy potem, nawet już w czasach, gdy – przynajmniej teoretycznie – mogłabym sama sobie coś takiego sprowadzić z którejś ze stolic świata mody. Brak mi wystarczającego zasobu przymiotników, aby tę parę cudów wzornictwa szewskiego

opisać adekwatnie do jej powalającego wyglądu. Choć będzie to niewątpliwą profanacją, przedstawię moje sandały w krótkich, żołnierskich słowach: urocza płatanina pasków z najwyższej jakości barwnych skórek na gigantycznej wysokości podeszwie z tworzywa zdobionego jak sufity renesansowych komnat. Coś takiego powinno stać w strzeżonej gablocie muzealnej z podpisem: *Damskie sandały na platformie, Włochy, pierwsza połowa lat 70. XX wieku. Nabyte w PRL spod lady.*

Tak, stałam się szczęśliwą posiadaczką takiego luksusowego obuwia. Jedyne dzięki kuzynce – kierownicze stoiska w prestiżowym stołecznym domu towarowym. Byłam tej kuzynce niezwykle wdzięczna, bo właśnie udało mi się zorganizować wyjazd (dość niezwykły jak na tamte czasy, ale o tym za chwilę), stosowny na długo odkładaną podróż poślubną. Zrozumiałe, że z takiej okazji chciałam się odjazdowo prezentować. Ale jak tu nie wyeksponować taaakich sandałów modnym mini? Więc zaprzyjaźniona krawcowa na cito szyła mi skąpe tuniczki ze zdobytych fuksem, jako odrzut z eksportu, kuponów ręcznie malowanego bawełnolnu. Każde nogi, a moje wcale nie były najgorsze, dobrze by się prezentowały w takim zestawie.

Teraz już czas zdradzić trasę podróży, bo po opisie kreacji mogłoby się komuś zdawać, że szykuje się co najmniej śródziemnomorska riwiera. To nie w tamtych czasach, nie przy skąpo wydzielanych dewizach i możliwościach paszportowych. Marzyła się nam, młodej parze, na tę specjalną okoliczność podróży trasa łącząca ciepłe morze i śnieżne góry, fascynujące kultury i prastare zabytki. Taki wymagający koktajl atrakcji nie był łatwy do osiągnięcia. Nasze możliwości finansowe oraz realia Peerelu większość destynacji spełniających te kryteria już z góry

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

eliminowała, a zakładowe wczasy w Bułgarii czy inne zbiorowe wycieczki nad Morze Czarne wydawały się zbyt trywialne. Gdzież w grupie przypadkowych rodaków szukać romantycznej oprawy podróży już z samej definicji tylko dla dwojga! I oto niespodziewanie otworzyła się nowa, prawie niedostępna dotąd możliwość – indywidualne wyjazdy do różnych republik ZSRR. Bez potrzeby zdobywania specjalnego zaproszenia i to w miejsca na trasie osobiście zaprojektowanej. Wprawdzie nie obywało się bez państwowego biura podróży, które rezerwowało hotele oraz przejazdy na całej zamówionej trasie, ale unikało się „uroków” zbiorowego wyjazdu. Precz z uciążliwością dopasowywania się do grupy, obowiązkowego programu i innych rygorów. Hurra! Ślęcząc nad mapą – i nie bez sprzeczek – wyznaczaliśmy trasę kompromisową, w miarę zgodnie łączącą różne oczekiwania każdego z nas. A więc prastare kultury Gruzji i Armenii, słoneczne plaże nad ciepłym morzem w Suchumi, subtropikalna roślinność starożytnej Kolchidy, śnieżne szczyty Kaukazu i chłodne fale jeziora Sewan.

Udało się zarezerwować hotele na całej trasie i połączenia lotnicze w dogodnych terminach. Wszystko układało się jak po maśle, choć to porównanie niezbyt trafne z powodu ówczesnych „przejściowych braków na odcinku masła”. Jeszcze tylko paszporty. Tu się zaczęły pierwsze schody. W komendzie MO bałagan – nie wpisali do paszportu zmiany stanu cywilnego, uniemożliwiając odbiór dokumentu aż do dnia, w którym upływał termin opłacenia rezerwacji w biurze turystycznym. Oczywiście bez paszportu nie można było tego zrobić... Kiedy z upragnionym dokumentem w garści biegłam, by zdążyć przed zamknięciem biura podróży, tory tramwajowe podstawily mi nogę. Rymsnęłam

gołymi kolanami prosto na szyny. Pocięła krew, rozsypała się zawartość torebki... Jakoś się pozbierałam i jak żołnierz, co z urwaną nogą mocą adrenaliny pędzi do ataku, ruszyłam dalej. Nawet nie spostrzegłam, że krew zaplamiła świeżutki paszport. Pani w biurze wahała się, czy krwawy paszport to ważny paszport, ale kiedy spostrzegła, że „to coś”, co kapie z kolan, brudzi nową wykładzinę, pospiesznie sfinalizowała formalności. Mogłam się powlec do pogotowia. Tam uznano, że niezbędny jest zastrzyk przeciwężcowy. Jeszcze tego samego wieczoru nastąpiła przykra reakcja. Temperatura, zawroty głowy... Horror. Rano samolot, a ja czułam się tak podle, że pakowanie walizek spadło na mojego męża. Niedostatki garderoby, wynikające z męskiego podejścia do damskich potrzeb ubraniowych, wyszły na jaw już w pierwszym hotelu. Ale o tym za chwilę.

Na lotnisku oklejone plastrami kolana (co razem z paszportem w krwawych zaciekach sugerować by mogły ofiarę przemocy domowej) ukryłam pod niemodną, długą spódnicą. Pasowała do moich odjazdowych sandałów jak pięść do nosa. Kiedy wylądowaliśmy w stolicy Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, pogranicznicy podejrzliwie przejrzeni mój poplamiony paszport i od razu przywołali czekającą już na nas pilotkę z turystycznej agencji. Khm... Pracownica „agencji”, czyli agentka. KGB? Pochłonięci studiowaniem trasy podróży musieliśmy zapomnieć, że nie obejdzie się bez takiej asysty! Przecież nawet przyjezdni z krajów socjalistycznego bloku to też podejrzani cudzoziemcy. Zwłaszcza ci z niepokornego Peerelu wymagają specjalnego nadzoru. Przydzielona nam do opieki dorodna krasawica dziwnie pasowała do takiej roli. Bez słowa zdecydowaliśmy, że musimy się

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

spod jej czujnego nadzoru wymknąć. Jeszcze tego brakowało: podróż poślubna pod okiem Pani Agent – przyzwoitki! A ta już w drodze do – a jakże! – luksusowego hotelu dla *innostrańców* przekazała nam obfity program turystyczno-ideologicznego zwiedzania. Oczywiście z nią jako przewodniczką. Zaczynamy natychmiast! Nie skutkowały żadne nasze prośby ani wykrety. Spróbowaliśmy więc fortelu. Zostawiliśmy naszą opiekunkę z KGB przy recepcji, by poczekała, aż zawieziemy walizki do pokoju gdzieś na wysokim piętrze hotelu. W „numerze” przebrałam się w moje mini i zjechałam windą do recepcji. Czekającej tam Pani Agent poskarżyłam się, że mój ślubny ma awersję do zwiedzania cze-
gokolwiek i odmówił wyjścia na miasto. Ja nie mam wpływu na męża i tylko ona może go przekonać. Pani Agent pewna swej siły perswazji zadzwoniła z recepcji do naszego pokoju. Ponieważ nikt nie odbierał telefonu, poprosiłam, żeby pofatygowała się na górę i osobiście wpłynęła na mego męża. A on, uprzedzony dzwonkiem telefonu, w czasie, gdy Pani Agent wsiadała do windy, był już na klatce schodowej i zbiegał do holu. Pani Agent, jak sobie ze śmiechem wyobrażaliśmy, bezskutecznie dobijała się do drzwi naszego pokoju, kiedy my już opuściliśmy hotel i wtopiliśmy się w tłum na ulicy.

Po szczeniacku podeksytowani zdobytą wolnością szliśmy sobie bulwarem nad rzeką Kurą, trudząc się wymową jej gruzińskiej nazwy: Mtkwari i podziwiając zamek na wysokim drugim brzegu. Musieliśmy nieco odstawać wyglądem od mijających nas ludzi, bo nie wspominając o panach, także i panie zwracały na nas uwagę. Starsze, na czarno ubrane kobiety z wyraźną dezaprobatą, natomiast młode dziewczyny z wyraźną aprobatą patrzyły na moje modne mini. Zaczęliśmy nawet

żartować, że może i plastry na kolanach zostaną tu przyjęte jako nowinka ze świata mody. Ze śmiechem wyobrażaliśmy sobie Panią Agent i to, jak wysyła list gończy za taką parą, co wymknęła się ideologicznemu nadzorowi i gorszy golizną na ulicach. Trochę nam te śmichy-chichy przeszły, kiedy zauważyliśmy, że jezdnią, przy samym trotuarze wolno sunie czarna wołga. Przez chwilę wmawialiśmy sobie, że to tylko złudzenie, pewnie początki paranoi, że jesteśmy przez wszystkich obserwowani. Jednak gdy niby przypadkiem zwalnialiśmy, udając, że podziwiamy krajobraz, samochód również zwalniał. Na wszelki wypadek postanowiliśmy zawrócić w miejscu, cofnąć się i skręcić ostro w bok przy najbliższym skrzyżowaniu. Przecież samochód nie mógł jechać pod prąd. Mógł. Ruch uliczny nie był duży i kiedy my zrobiliśmy szybki „zwrot przez rufę”, wołga z piskiem opon dała na wsteczny bieg i tyłem do przodu nieco nas wyprzedziła, a następnie ostro zahamowała. Nim wykonaliśmy jakiś ruch, wyrosła przed nami ściana otwartych drzwi samochodu, niebezpiecznie przegradzając chodnik. Byliśmy w pułapce. Z jednej strony rzeka płynąca w głębokim wąwozie. Z drugiej strony ulicę tarasował ten tajemniczy samochód. Zręcznie wysiadł z niego krępy facet w – jak mawiał mój tata – słusznej sile wieku. Czarnowłosa i czarnowąsa, ubrany w czarną koszulę i takież spodnie. Tak wyobrażałam sobie archetypicznego Gruzina, przynajmniej sądząc po wyglądzie postaci na obrazach Nika Pirosmianiego*. Toczka w toczkę z albumu kaukaskiego malarstwa naiwnego. Gdybyśmy byli

* Niko Pirosmiani – właściwie Pirosmanaszwili (1862–1918), gruziński malarz prymitywista, główna tematyka jego obrazów to ludzie uczujący za stołem i portrety. Największe zbiory jego dzieł znajdują się w Muzeum Sztuk Pięknych w Tbilisi.

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

w USA (brakuje tylko czarnej kominiarki), to uznalibyśmy pewnie, że oglądamy amerykański film kryminalny. Ale byliśmy w ZSRR i wrażenie filmu błyskawicznie wyparły całkiem niefikcyjne i niefilmowe skojarzenia. Takie z relacji osób, które same doświadczyły sowieckiego terroru. Archetypiczny nie rzucił nas jednak na głębę, nie skuł, tylko uśmiechając się przepraszająco, powiedział:

– *Sorry sir, I am sorry madame...* – i natychmiast przeszedł na rosyjski. – *Izwinitie*, wybaczenie, jeśli was przestraszyłem. Ale to nie napad, to tylko takie handlowe zapytanie. Bo wiecie, my, Gruzini, jak widzimy coś, co nas absolutnie zachwyci... Zrobimy wszystko, żeby to zdobyć. Musimy to mieć...

Mówiąc to, spojrzał znacząco na moje nogi. Przeraziłam się jeszcze bardziej, choć nie powiem, równocześnie poczułam grzeszną satysfakcję ze specyficznego, jakkolwiek by to nie brzmiało, komplementu. Od czasu ślubu niesłyszanego. Przez twarz mojego męża, który też podążył za wzrokiem Archetypicznego, przeleciał uśmiech próżności macho, który ma na co dzień to, co nieosiągalnie zachwyciło innego mężczyznę. Kiedy ten uśmiech przekrzywił się w grymas zazdrości, znów wpadłam w panikę – a nuż obudzi się w nim polski rycerz i zechce Archetypicznemu dać w głębę. Jeszcze tego nam brakowało! I wtedy Archetypiczny, ten beczelny typ, giętko pochylił się aż do moich stóp i czule dotknął wysokiej podeszwy moich sandałów.

– *Prekrasne, wot oczeń prekrasne!* Co za pantofelki! Przepiękne! Ja muszę je mieć. Moja siostra gotowa dźgnąć mnie kindząłem, jeśli jej takich nie przyniosę. W całym Tbilisi nie ma podobnych. Ale się ucieszyłem, kiedy dostałem cynk, że pojawiło się to, czego dla niej szukam!

Mojej siostrze dokładnie o takie platformy chodzi! Pokazała mi zdjęcie w żurnalu. Jedziemy za wami, odkąd wyszłicie z hotelu, i może wreszcie teraz pogadamy. Ile za nie chcecie?

Ponieważ to pytanie skierowane było prosto do mojego męża, jakby to on był właścicielem moich butów, tak mocno urażone zostało moje poczucie niezależności, że warknęłam:

– Te sandały nie są na sprzedaż. Jeśli jesteście zainteresowani jakąś inną częścią mojej garderoby, możemy porozmawiać.

Archetypiczny obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem i odpowiedział, że on by swojej siostrze za nic nie pozwolił w czymś tak kusym wyjść na ulicę. Takie bezbożne szmatki go nie interesują. Co innego sandały. Przecież święte męczennice na obrazach mają obuwie z rzemyków, a nawet sama Matka Boża ma odsłonięte stopy. Wrócił też szybko do swojej propozycji handlowej, dodając, że przecież nie będziemy tak rozmawiać na ulicy, więc zaprasza nas do restauracji. Siądziemy, pogadamy i przy ich słynnym gruzińskim winie z pewnością dobijemy targu. Otworzył tylne drzwiczki samochodu i rozpostartymi ramionami starał się zagarnąć nas do wnętrza. Spojrzeliśmy z mężem po sobie, mając te same myśli. Każde z nas przecież czytało czy słyszało o porwanych Polakach, którzy w Sowietach zaginęli bez śladu, w najlepszym razie wylądowali w łagrze na Syberii. Czy to się nie zmieniło? Nie mieliśmy jednak innego wyjścia, jeśli nie liczyć desperackiego skoku w odmętach rzeki Kury. O, przepraszam – Mtkwari.

Zesztywniali z napięcia usadziliśmy się na tylnej kanapie. I wtedy siedzący na miejscu kierowcy młody mężczyzna odwrócił się do nas. Co tu mówić – gość o urodzie absolutnie powalającej. Oniemiałam. Regularne

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

rysy pociągłej twarzy, oczy obwiedzione długimi rzęsami. O tym, że nie jest to piękna dziewczyna, świadczył cień ciemnego zarostu na brzoskwińowej skórze. Nie wierzyłam oczom – jakby młodzieniec żywcem wyszedł z ram obrazu. Tym razem nie z dzieła malarza naiwnego, grubej kreski gruzińskiego prymitywisty Pirosmianiego, ale wyrafinowanego mistrza włoskiego renesansu. Przekartkowałam w myślach albumy, które w kraju musiały zastępować mi światowe galerie. Delikatna, ale o zmysłowych ustach twarz z „Portretu młodego mężczyzny” Sandra Botticellego. Chociaż nie, raczej podobny do słodkiego, o niemal dziewczęcym spojrzeniu „Portretu młodzieńca” pędzla Rafaela Santi... Krótko mówiąc – facet zjawisko, na które trudno być obojętnym niezależnie od płci!

Ton głosu Archetypicznego nagle zmiekkł, wydał mi się dziwnie czuły, kiedy przedstawiał nam tego anielskiego przystojniaka.

– Pozwólcie, to mój ukochany przyjaciel Asłan. Kandydat nauk historycznych, najlepszy profesor marksizmu-leninizmu w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Tbilisi, najmłodszy członek Komitetu Centralnego Gruzjińskiej Partii Komunistycznej.

Z figurą postawioną tak wysoko w partyjnej hierarchii to, jak do tej pory, poza ekranem telewizora nie miałam okazji się spotkać, a co dopiero mieć za kierowcę w samochodzie. Zaczynało być interesująco... Archetypiczny usadowił się koło pięknego i utytułowanego kierowcy, na moment delikatnie go przytulił i najwyraźniej coś uzgadniali, niestety po gruzińsku. Widocznie to, co uzgodnili, nie cierpiało zwłoki, bo lekceważąc klaksony innych samochodów, kandydat nauk wykonał szybki obrót w czterech rzutach i wołga z kopyta ruszyła pod prąd, by ostro skręcić w uliczkę ze znakiem zakazu wjazdu.

Nie był to ostatni z niedozwolonych manewrów, ale piękny kierowca wydawał się przyzwyczajony do bezkarnego łamania przepisów. Wołga z piskiem opon zahamowała przed solidnym budynkiem w stylu socrealu, a stojący przed wejściem milicjant tylko grzecznie zasalutował. Nastąpiła zamiana kierowców – piękny młodzieniec wysiadł, a Archetypiczny zajął jego miejsce. Wyjaśnił, że towarzysz Asłan będzie zaraz prowadził wykład w tej oto partyjnej szkole wyższej i niestety nie spróbuje z nami wina. Służba nie drużba. Biedny chłopak ma za dużo pracy, zamecza się dla idei... Wyczułam w jego głosie autentyczną troskę. Tak się mówi o osobie bardzo bliskiej. Chwilę patrzyliśmy za odchodzącym towarzyszem Asłanem i nim zniknął w drzwiach swej ideologicznej uczelni, ze zdziwieniem zauważyłam, że sposób, w jaki idzie, dziwnie nie harmonizuje z jego urodą. Ten chłopak o przepięknej twarzy poruszał się dość niezdarnie, mocno utykając. Archetypiczny uchwycił moje spojrzenie i szybko wyjaśnił:

– Asłan urodził się, nim wprowadzono szczepienia przeciw polio. Dobrze, że na mnie trafił. Zanim zainwestowałam w lekarzy, kiepsko z nim było, i gdyby nie kosztowna kuracja mogłoby to wyglądać znacznie gorzej. Szkoda tylko, że tak późno się poznaliśmy...

A więc nie syn i nie brat, chyba też nie krewny. Nawet jak na serdecznego przyjaciela patrzył za odchodzącym zbyt ciepło...

Wyjechaliśmy z miasta i terenową drogą wołga wspięła się na zbocze niewielkiego wzgórza. Na szczycie, pod cienistymi drzewami, stały drewniane stoły, przy nich także ławy, a pomiędzy nimi i na nich kręciło się stadko ledwie wyrosniętych kurczaków. Nim samochód zaparkował, z drewnianego baraczku pod malowanym szyldem z napisem

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

w gruzińskim alfabecie wybiegł facet opasany fartuchem. Z taką atencją witał Archetypicznego, jakby pojawił się tu przynajmniej car wszechimperium. Zaraz na stole pojawiły się ceramiczne kubki i dzban z winem. Widać Archetypiczny złożył konkretne zamówienie, bo z baraczku wybiegły dwie dziewczyny i rozpoczęły prawdziwe łowy. Kurczaki nie były spolegliwe i chętnie bym w tym przypadku ogłosiła się wegetarianką. Niestety, szybko było już po wszystkim. Nim *ciplionki* znów pojawiły się na stole, tym razem prosto z różną, ułożone na pęczkach świeżych ziół, osuszyliśmy cały dzban, a pierwszy toast, jaki wygłosił nasz fundator, przesądził bezapelacyjnie, że oto sandały już nie są moje. Przebywają na moich stopach tylko chwilowo, wypożyczone od jego siostry Natali. Wkrótce po tym toaście na stole pojawiły się cienkie placki gruzińskiego chleba i przypominające łódki, grube placki z ciasta wypełnione serem. Archetypiczny śmiał się, kiedy staraliśmy się powtórzyć ich nazwę – *chaczapuri adzaruli*. Imion innych dań już nie pamiętam, bo na zabój zakochałam się w gotowanych na parze nadziewanych mięsem pierożkach – sakiewkach *chinkali*. Ze zdumieniem dowiedziałam się, że podawana do wszystkiego aromatyczna natka podobna do pietruszki to kolendra. Że też nigdy nie przyszło mi do głowy sprawdzić, jak wygląda roślina, której okrągłych nasion używałam do kwaszenia ogórków!

Przy drugim dzbanie rozmawialiśmy już swobodniej, bo wszelkie podejrzliwości wypłukał z nas alkohol z winnych gron, a po wygłoszeniu kwiecistych bruderszaftów, mogliśmy mówić sobie po imieniu. Archetypiczny, teraz już Dawid, z dumą powiedział, że ojciec zażyczył sobie, by go ochrzczono tak na cześć Dawida IV Budowniczego. Władcy, który w XII wieku uwolnił Tbilisi od muzułmańskich najeźdźców.

Potem rozmowa przeszła na tematy historii już współczesnej i – coraz odważniej – wspólnych jej motywów, czyli relacji z „czerwoną gwiazdą”. Wyznaliśmy otwarcie, jak drażni nas asysta pilotki. Jak podejrzewamy – agentki bezpieczeństwa, czy jak to tam się ta instytucja teraz nazywa. Dawid tylko machnął ręką.

– Nie musicie się już przejmować pilotką. Katia jest w porządku, ale to tylko Rosjanka, co ona tam wie o Gruzji. Pracuje wprawdzie dla mnie, ale czasem za bardzo przejmuje się swoim drugim, państwowym etatem. Na stanowisku „oka i ucha”. Musi o każdym gościu zagranicznym składać milicji raporty. Niech sobie tam na różnych składa. Wy to co innego. Dobrze się rozumiemy i teraz, jeśli tylko chcecie, to ja wam pokażę moją Gruzję. Mój Asłanek jutro ma wolne. Zawieziemy was do Mcchety i w Kaukaz. Nie każdy samochód jest tak wygodny jak nasza wołga. To ważne, żeby po tych naszych, pożał się Boże, dziurawych nawierzchniach spokojnie przejechać całą Gruzijną Drogę Wojenną*.

Wszystko powoli zaczęło mi się układać w głowie, nie powiem, rozjaśnionej winem. Już wiadomo, od kogo pochodził cynk o sandałach! I jeszcze ta nonszalancja za kierownicą, czołobitność restauratora... Oj, musi być ten nasz Dawid niezłą figurą. Nie od parady nosi imię zwycięskiego władcy. Rozochocony naszym zainteresowaniem Dawid powoli odsłaniał kolejne tajemnice. Powtórzył parę razy, że Gruzja to nie inne republiki ZSRR, chociaż oni niby formalnie też

* Gruzijną Drogą Wojenną – odwieczna trasa komunikacyjna biegnąca w poprzek Wielkiego Kaukazu. Zmodernizowana w XIX wieku droga o długości 208 km łączy Tbilisi z Władykaukazem, w najwyższym punkcie osiąga wysokość 2379 m n.p.m. Dzięki walorom widokowym i zabytkowym stanowi wielką atrakcję turystyczną.

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

są republiką. Gruzja to Gruzja. Mimo władzy sowieckiej ci, co mają głowę na karku, tak nie przymierzając – jak on, potrafią tu znaleźć swoją niszę i w miarę nieźle egzystować. Samemu zarobić i innym dać zarobić. Są zdolnym narodem i potrafią się zorganizować nawet w tym narzuconym systemie. Przecież od wieków wiedzą, jak handlować. I klimat im sprzyja. Tu każdy uprawia owoce i jarzyny, a jakie kwiaty mają! Przecież na oko widać, że w tej pięknej Gruzji nie mało takich, których nie obowiązuje sowiecka gospodarka. Gospodarka, w której wszystko się marnuje, towaru brak, a nic się nie opłaca, bo wszystko państwowe, czyli niczyje. A w Gruzji inaczej. Weźmy takie kwiaty. Goździki. W dniu święta kobiet, ósmego marca, każda kobieta musowo ma mieć kwiatek. Jak ZSRR długi i szeroki. I żona, i sześcioroczna, i traktorzystka, i kochanka. Ale skąd w takiej Moskwie, kiedy tam jeszcze zimowe roztopy i ogólna niemożność, zdobyć taki luksus? A tu u nich w Gruzji, proszę bardzo, słońeczko grzeje, szklarnie aż kipią od kwiatów. To co się robi? Skupuje się z tych szklarni, co kto ma, wynajmuje samolot albo dwa samoloty i fru... do Moskwy. A potem przy wejściu do metra towar się rozkłada i nie ma faceta, co by odszedł bez goździka albo kilku. Każdy po rubelku. A jak przychodzi milicjant i wrzeszczy, że *nie lizia*, i że on towar rekwiruje, to jeśli nikt nie widzi, pan władza wycofuje się z pęczkiem kwiecica. Zdarza się, że mundurowy jest nieustępliwy. Wtedy to oni wolą te goździki podeptać niż oddać za darmo. Ludzie aż płaczą, gdy widzą łebki goździków wbite w to moskiewskie błocko, a oni odchodzą z niczym... Od lat tak rok w rok. Wie to dobrze. Sam zarobi i jego ludzie też. Podobnie z owocami. W sezonie też lecą samolotami do miast na Syberii, gdzie

po marną marchewkę ludzie stoją w kolejce na kilometr. W kołchozach to nawet zwykła marchew się nie udaje. Wszystko tam marnieje, jak się uprawia Wańki lewą ręką. Co innego w Gruzji, w prywatnych ogrodach. Kiedy Gruzini polecą z taką własną dostawą do byle miasta w głąb Kraju Rad, to nim się władza zorientuje, już z ulicy na pniu ludzie wszystko rozdrapią. Dużo by nam jeszcze mógł opowiedzieć, bo te rolnicze towary to tylko mały pryszcz w tym, co robią, wyręczając sowieckie ministerstwo handlu. Ale czasem lepiej nie wiedzieć, bo kto wie za dużo... Każdy musi pilnować swoich interesów. Przecież o konkurencję nietrudno, a ci, co w nieswoje sprawy nos wsadzają, mogą źle skończyć. Jak wrócimy do miasta, to on pokaże nam takie świeże miejsce, gdzie krew dopiero co zaschła. Po tym ostatnim zdaniu nastąpiła mała przerwa w monologu Dawida i wtedy ja, nabierając wraz z wypitym winem śmiałości, wypaliłam beczelnie:

– Dawid, powiedziałeś to wszystko tak, że poczułam się niczym na Sycylii. Czyżby i w Gruzji zdarzały się porachunki mafijne? Jeśli są krwawe porachunki, to muszą być i mafie, i mafiosi.

Dawid się obruszył, ale tak nie za bardzo wojowniczo, raczej obracając to w żart.

– Anoczka, dlaczego zaraz mafia? Tak nie trzeba. To po prostu takie nasze korporacje. A jak czytałem, to u imperialnych kapitalistów korporacje też ostro pilnują swoich interesów i mają w garści polityków i policję, i kogo tam jeszcze trzeba. Czasem nie obroni się interesów tylko słowami. – Dawid znacząco poklepał się po wypchanej bocznej kieszeni spodni.

Nim zadałam następne pytanie, spojrzał na zegarek i zasumował się:

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

– My tu gadu-gadu, a kandydat nauk, ten mój Asłanek, już pewnie skończył wykład i czeka, żeby po niego przyjechać.

Zerwał się od stołu, zostawiając pod talerzem sporą kupkę rubli, i zegnani ukłonami restauratora wsiedliśmy do wołgi. Nie zważając na ilość wypitego wina, Dawid swobodnie chwycił kierownicę i ruszyliśmy w dół w kierunku miasta. Po drodze, jak na kierowcę zbyt często odwracając się do nas, opowiadał, jak to poznał Asłana na weselu krewnych. U nich w Gruzji wesele to dopiero jest wydarzenie, może trwać i kilka dni. Jak tylko wszedł i spostrzegł tego anielskiego młodzieńca siedzącego za stołem, to jakby piorun w niego strzelił, ale kiedy zobaczył, że ten anioł ledwie chodzi o dwóch kulach, to myślał, że serce mu pęknie. Najlepszego w całym Związku Rad doktora przywiózł z Moskwy, potem *babuszkę* zielarkę z wioski pod Kazbkiem ściągnął, na kąpiele w ciepłym morzu wozi go do Suchumi. Efekt sami widzieliśmy. Asłan już nieźle zasuwa bez kul. Sam by sobie nie poradził, chociaż to chłopak z najlepszego rodu Gruzji. Co z tego, że szlachetne pochodzenie bije mu z twarzy, skoro bolszewicy wszystko jego rodzinie zabrali. Zaledwie garstce krewnych udało się przeżyć, a paru wyemigrowało do Ameryki tuż przed wielką ojczyźnianą wojną. Ojca stracił Asłan, jeszcze nim się urodził. W łagrze ten ojciec szczeł, bo naszego Józefa Wissarionowicza oszukali doradcy, że gruziński kniaź knuje przeciw niemu. Takie miał podstępne gnidy za doradców nasz Stalin. Matka Asłana ledwie przeżyła ten szok, kiedy ona w ciąży, a tu w nocy przyszli po męża. Dzielnie sama wychowała chłopaka, choć zarabiała marne grosze jako praczka, bo ze szkoły, gdzie uczyła rachunków, wyrzucili ją za pochodzenie. Krewni

też wszystko stracili, ale robili, co mogli, więc Asłan i francuski zna, i na fortepianie zagra.

Po tej relacji Dawid już całkiem do nas zwrócony, nie patrząc na drogę, co nawet mój mąż uznał za mocno niebezpieczne, wyznał niemal konspiracyjnym szeptem:

– Dopiero kiedy zostaliśmy razem, mogłem pokierować jego wykształceniem. Powiedziałem mu: „Asłanku, serce ty moje, kultura i języki ważne, ale trzeba studiować coś, co ci zapewni przyszłość. Do interesów to ty, kochanie, nie masz głowy. Ale do filozofii tak. Marksizm-leninizm wprowadzi cię w dobre kręgi. Sobie zapewnisz przyszłość i mnie twoje kontakty pomogą. Razem nikt nas nie ruszy”. No i proszę, jak mój chłopak daleko zaszedł!

Drżąc o życie, niepewne przy tym stylu jazdy Dawida, nie potrafiłam ocenić, czy to ostatnie zdanie powiedział z dumą czy... przekąsem.

Przeżyliśmy i po drodze do partyjnej uczelni po Asłanka Dawid podrzucił nas do hotelu. W drzwiach przypomniał uprzejmie, że obiecał siostrze te wymarzone sandały jeszcze dziś. Jak to dziewczyna – nie mogła się doczekać nowego ciucha. Nie było zmiłuj. Tuż przy wejściu do windy w holu recepcji włoskie sandały prosto z moich stóp, zgodnie z wymuszoną umową, zmieniły adres. Pożegnaliśmy się w pośpiechu, bo kandydat nauk nie może czekać. Jednak z zapewnieniem, że obaj przyjadą po nas nazajutrz rano.

Do naszego „numeru” dotarłam już boso i tam nastąpiła godzina prawdy. W walizce pakowanej przez mego męża z naszykowanego

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

przeze mnie obuwia „na każda okazję” znalazły się jedynie... cepe-liowskie kapciuszki z haftowanej w różę krakowskiej wstążki. Następnego dnia niebo nad miastem było pochmurne i takież był mój nastrój. Zrezygnowana myślałam, jak tu wyjść na miasto w kapciach cieńszych od skarpetek. Wzruszenie ramion było jedyną odpowiedzią etażowej (czyli żeńskiej instancji kontrolnej dyżurującej na każdym piętrze hotelu) na pytanie, gdzie mogę kupić jakieś letnie obuwie. Mój mąż cierpiał na wyrzuty sumienia z powodu „wpadki obuwniczej”, ale chyba bardziej dolegał mu nadmiar wczorajszego wina. W podobnie ponurym nastroju przyszedł po nas Dawid. Sam. Asłan odmówił udziału w zwiedzaniu, kiedy dowiedział się, że w planie jest Mccheta – dawna stolica Gruzji z katedrą Sweti Cchoweli, czyli najważniejszą gruzińską cerkwią. Bo co by było, gdyby ktoś doniósł, że on łązi po świątyniach niby jakiś wierzący. Miałby przechlapane w Komitecie. Woli więc zostać i spotkać się z kolegami z uczelni. Dawid nie sądził, że jego drogi Asłan jest takim cykorem. Ja jednak wyczułam, że Dawid po prostu nie znosi, by Asłan spotykał się z kimś bez niego. Jeśli zaś mowa o obuwiu zamiennym dla mnie, to Dawid udał się do tej samej *etażnej damy*, która mnie olała. Nie minął kwadrans, jak przyniosła tryumfalnie czarne czółenka z czegoś skóropodobnego. O dziwo, pasowały i choć były nadzwyczaj „nietwarzowe” (jeśli tak można powiedzieć o butach), to dawało się w nich chodzić. W każdym razie bardziej niż stopy cierpiała moja próżność.

Kiedy wsiedliśmy do czarnej wołgi, Dawid zmienił plany. Zamiast zwiedzać świątynie Mcchety, pojechaliśmy do jakiegoś hotelu, podobno wybudowanego w końcu XIX wieku. Gmach, choć mocno zaniedbany,

ciągle prezentował ślady dawnego przepychu. Marmury, secesyjne kolumny. Nim weszliśmy do środka, Dawid prawie szeptem uprzedził, że możemy doznać szoku. Będzie dosłownie dwa dni, jak dokonana się tu krwawa rozgrywka. Tuż przy wejściu, w holu recepcji, został zastrzelony bardzo ważny człowiek. Wielka, wielka figura w tutejszym świecie interesów. Dawid zawahał się, jak te interesy określić, a kiedy ja szybko uzupełniłam: w świecie podziemnego biznesu, zadowolony przyznał:

– Niech ci będzie. Jak chcesz, możesz go sobie nazywać nawet człowiekiem mafii. Jeden z najważniejszych. Do dziś na podłodze są ślady krwi. Dziwne, że krew może aż tak zabarwić kamień. Kto by pomyślał, że z takiego szlachetnego kamienia niełatwo ją zmyć. Dużo osób przynosi tu kwiaty...

Ze zrozumiałym dreszczykiem na plecach weszliśmy za Dawidem do holu i onieśmieleni przystanęliśmy. Profilaktycznie jak najbliżej ścian. W bogato zdobionym secesyjnym westybulu na białym marmurze posadзки majaczył brunatny zaciek. Może bym i tego nie zauważyła, gdyby nie rzucone tam kwiaty. Pojedyncze róże i goździki na długich łożyskach. W dostojnym wnętrzu panowała uroczysta cisza, nieliczni goście przemykali pod ścianami, żeby nie sprofanować nieostrożnym krokiem śladów śmiertelnej zbrodni. W tej makabrycznej scenerii, choć ze względu na okoliczności w niestosownym momencie, pomyślałam o swoim paszporcie. Ten ponury zaciek podsunął mi ewentualną deskę ratunku – wprawdzie nietaktowną i nieetyczną – gdy będę musiała się tłumaczyć przy zdawaniu poplamionego paszportu na komendzie MO. Mogę „się podczepić” pod tę zbrodnię jako przypadkowy świadek i relacjonować przejęciem, że właśnie odbierałam

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

paszport z recepcji hotelu, a tu straszna scena. Krew tryskała wokół na wszystko! Och, pewnie obywatel komendant czytał o tej zbrodni w milicyjnych kronikach Republiki Gruzjińskiej. Macie przecież jakieś służbowe kontakty z ludową milicją ZSRR...

Gdy po cichej kontemplacji miejsca krwawych porachunków mafijnych wróciliśmy do wołgi, Dawid powiedział półgębkiem, nie wiem, czy bardziej do nas, czy raczej do siebie:

– To niebezpieczny fach. W tej profesji nigdy się nie wie, co cię może spotkać i od kogo. To i słusznie, że Aślanek tak dba o dobrą opinię w Komitecie i na uczelni. Bo gdyby tak nagle mnie zabrakło, gdyby został sam...

Tkwiąc w temacie zbrodni i atmosferze nagłej a niespodziewanej śmierci pracowników etatowych mafii, z tego niemal pachnącego krwią hotelu Dawid postanowił zawieźć nas na cmentarz. Miejsce, gdzie ziemskie szczątki mafiosów są upamiętnione po wsze czasy. Wjechaliśmy w cmentarną część miasta po północnej stronie rzeki Kury. O, przepraszam – rzeki Mtkwari. Czegoś takiego, tylu rozległych i wypasionych grobowców z przepięknego marmuru, jeden w drugi, nigdy nie widziałam. Szerokie jak zapewne niedawno małżeńskie łoża aktualnych nieboszczyków, ograniczone toczonymi w kamieniu balaskami balustrad, zdobione w sposób, jakiego do tej pory nie miałam okazji spotkać na żadnym cmentarzu. Na wypolerowanej jak lustro powierzchni nagrobnej płyty wytrawiona była czy odmalowana (mniejsza o rodzaj techniki) naturalnej lub nieco ponadnaturalnej wielkości fotografia nieboszczyka. W pozie dowolnej. Swobodnie siedzącego w fotelu lub stojącego z ręką w kieszeni, jakby w gotowości do sięgnięcia po spluwę. Z jedną dłonią

opartą na biodrze, a drugą zastygłą w geście przecierania okularów. Oczywiście ciemnych. Bywały i wspólne konterfekty z żoną. Podobno przeważnie ciągle żyjącą. Przygotowane tak już przezornie na zapas. Co ciekawe, niemal nieodłącznym atrybutem tych nagrobnych portretów był trzymany między palcami papieros i to już nadpalony, zwieńczony sugestywną kapką popiołu. Kątem oka zauważyłam, jak mój mąż z niedowierzaniem i podziwem kręci głową. Jako geolog oceniał nie tyle artystyczny wyraz nagrobków, co wartość rzadkich gatunków użytego kamienia. Jednak z tych funeralnych osobliwości największe wrażenie zrobił na mnie, ba, nawet wywołał rzewne wzruszenie, śnieżnobiały grób młodziutkiej córki jednego z „ojców chrzestnych”. Zamarły w smutku łabędź tulił do alabastrowej tafli smukłą szyję. Obok zrozpaczonego ptaka ktoś położył bukiet białych róż, jakby prosto z ogrodu, świeżych mimo upału. Podobno dziewczyna otruła się z miłości, choć poszła złośliwa plotka, że po prostu nadużyła narkotyków...

Potem, bynajmniej nie z mojej inicjatywy, Dawid zaprowadził nas na stary cmentarz w dzielnicy Kukia, na wzniesienie nazywane tu Polskim Wzgórzem. Słyszał, że Polacy chodzą w to miejsce do grobu jakiejś słynnej gwiazdy – aktorki czy poetki – którą zastrzelił jej kochanek, a potem sam sobie palnął w łeb. Bardzo, bardzo romantyczna historia. Kiedyś wydawało mu się, że tylko ciężki idiota może się zabić z miłości, gdy zostaje odrzucony. Od jakiegoś czasu sam wiele potrafi zrozumieć. Dlatego chciał się do tego grobu wybrać i tak tu sobie myśli zebrać, podumać... No i nadarzyła się okazja, żeby od Polaków usłyszeć coś więcej. Czemu ona, ta gwiazda, go nie chciała, tego kochanka, i po co tu, u diabła, przyjechała, jak go nie chciała?

Zdziwiłam się. Dawid, taki twardziel? Skąd taka dociekliwość? Oj, oj... Może jakiś seans na kozetce u doktora Freuda by się przydał... Ale równocześnie ucieszyłam się, że teraz to ja mogę robić za przewodniczkę. Dobrze, że przed wyjazdem specjalnie naczytałam się o ostatnich tbiliskich dniach Dagny Juel Przybyszewskiej. Chyba mniej z ciekawości losów tej norwesko-polskiej *femme fatal*, a bardziej, by zrozumieć, czemu Boy-Żeleński mógł ulec zauroczeniu tak krańcowo różnymi kobietami jak Dagny i Irena Krzywicka. Śmieszne, ale zastanawiam się nad tym, bo mieszkam niedaleko domu należącego niegdyś do małżeństwa Krzywickich. Boy często tam bywał, podobno, by (pod bokiem jej męża) randkować ze swą bogdanką. O dociekaniu motywów męskiej fascynacji innym razem. Teraz opowiedziałam Dawidowi, na tyle romantycznie, na ile pozwalał mój szkolny rosyjski, jak to w Dagny, pięknej Norweżce, muzie artystycznej bohemy końca XIX wieku, zadurzył się młody, polski poeta, niejaki Władysław Emeryk. Jego ojciec był zamożnym właścicielem kopalni, nie pamiętam, czy miedzi, czy manganu, właśnie tu, w Gruzji. Dlatego Emeryk junior sprowadził swoją ukochaną do Tbilisi. Dawid mnie poprawił, że Tbilisi nazywało się wtedy Tyflis. No dobrze, jeśli już tak trzymamy się faktów, to ten młody Emeryk do Tyflisu tak naprawdę zaprosił Dagny nie samą, a z mężem, bo tym mężem też był zauroczony. Tyle, że ten mąż, niejaki Stanisław Przybyszewski, słynny wtedy literat, z żoną nie przyjechał. Dagny z hotelu, to chyba był Grand Hotel, który Emeryk dla nich wynajął (a jakże, dwa osobne pokoje), codziennie wychodziła na dworzec, wyglądając przyjazdu kochanego męża. A ten... odbijał właśnie w Polsce żonę innemu literatowi (nie sądzę, aby nazwisko

Kasprowicza mówiło coś Dawidowi) i ani myślał przyjeżdżać do Tbilisi. Przepraszam, Tyflisu. Nawet po wszystkim, kiedy w hotelu znaleziono dwa zastrzelone trupy, na pogrzeb żony się nie pofatygował. Teraz ta biedaczka leży tu od 1901 roku sama w grobie, bo Emeryk senior zabrał ciało syna do kraju. Po moich wyjaśnieniach Dawid jeszcze bardziej się zadumał. Ten zawity kłębek namiętności miłosnego dramatu bohaterów, których nazwisk nawet nie zapamiętał, musiał mu jednak coś uświadomić. Z uwagą spytał o typ broni palnej i odruchowo sprawdził zawartość bocznej kieszeni spodni.

Od wizyty na cmentarzu i uwag na temat nieodwzajemnianej miłości oraz roli pistoletu w uciszaniu sercowych rozterek, które to refleksje padły z ust Dawida, gdy staliśmy nad skromnym nagrobkiem Dagny, zaczęłam coś kojarzyć. Mimowolnie uważniej obserwowałam wzajemne relacje naszych gruzińskich przyjaciół. Zwłaszcza gdy zabrali nas na wycieczkę ku szczytom Kaukazu i z tylnego siedzenia patrzyłam na Dawida za kierownicą oraz siedzącego obok Asłana. Ich „mowa ciała” nasunęła mi pewne myśli, choć, jak twierdził mój mąż, mam kiepskie wyczucie w dziedzinie męskiej psychologii. Otóż kiedy wołga wywijiała na górskich serpentynach, a Dawid, nie patrząc na drogę, odwracał do nas głowę, by objaśnić detale krajobrazu, ja niezmiennie truchlałam. W przeciwieństwie do Asłana, który nawet nie drgnął, ślepo zawierając talentom Dawida jako kierowcy. Jednak kiedy droga biegła spokojnie i Dawid bez ryzyka odrywał rękę od kierownicy, by oprzeć ją na ramieniu lub kolanie swego urodziwego anioła, ten zażyłości nie odwzajemniał, a nawet wyraźnie się niecierpliwił. I jakoś mi nie wyglądało, że tylko z powodu krępujących go świadków...

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

Każdy zakręt odsłaniał oszałamiający widok na szczyty na horyzoncie, ale wysoko w te góry nie dojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się, by przepuścić wielkie stado owiec, które becząc i przepychając się, zalało całą szerokość drogi. Kiedy owce przeszły, poganiane przez pasterzy i ogromne, kudłate owczarki kaukaskie, wołga zabulgotała, zamruczała i ani myślała ruszyć. Dawid zaklął i wyszedł sprawdzić, co się stało, a my razem z nim. Zaglądając pod maskę samochodu, odruchowo zawinął rękawy koszuli. Na odsłoniętych przedramionach można było podziwiać misterną mozaikę tatuaży. Pokrywały skórę aż po normalnie ukryte pod mankietami przeguby dłoni. Szybko jednak tę galerię sztuki znów zakrył, opuszczając rękawy.

Zawiodły konsultacje techniczne z moim mężem, który wprowadził świetnie radził sobie z naszym fiacikiem – maluchem, ale o bebeczach wołgi nie miał bladego pojęcia. Co innego jeden z pastuchów, który zauważył nasze kłopoty. Cofnął się, zawierając stado owczarkom, i natychmiast zdiagnozował problem. Na szczęście zepsutą część (nawet po polsku nic by nie powiedziała mi jej nazwa, a co dopiero po gruzińsku) mógł naprawić kowal w pobliskiej wiosce. Panowie przepchnęli samochód na pobocze, wykręcili z niego „chory organ” i wszyscy potuptaliśmy grzecznie za owcami (prowadzeni, jak całe stado, przez owczarki) do wioski i kowala. W ocienionej winoroślą altance obok kuźni najpierw pojawiła się butelka *czaczy* – mocnego bimbrow z winogronowych wytrączyn. Dopiero po kilku toastach kowal zabrał się do roboty. Kiedy on trzymał się dorabianiem czy reperowaniem felernej części, my, czekając, zabijaliśmy czas „dyskusją w podgrupach”.

Mój mąż zagadnął Asłana na temat jego pracy naukowej na uczelni i po chwili obydwaj zatopili się w ożywionej dyskusji. Ja z Dawidem wybrałam się na mały spacer dla rozprostowania nóg i, ot tak, spytałam o znaczenie tych jego tatuaży. To był dobry moment, bo widać potrzebował z kimś pogadać tak od serca, bez dodatkowych słuchaczy. Spokojna przechadzka sam na sam z osobą życzliwą, ale taką, co dziś jest, a niebawem gdzieś w dalekim kraju zniknie wraz z jego zwierzeniami, sprawiła, że Dawidowi powoli rozwiązał się język... Dowiedziałam się więc, że te figury, znaki czy misterne obrazy na jego skórze to dzieło kilku mistrzów tatuażu. To jakby certyfikat przyjęcia do cechu, no, takie dystynkcje w hierarchii w pewnym fachu, czytelne tylko dla wtajemniczonych. Co tu będzie ukrywał – to znaki na dowód złodziejskiego chrztu. Zwłaszcza ta ośmioramienna gwiazdka. Dlatego tak publicznie ich nie pokazuje. Ten chrzest dokonał się w więzieniu. Trafił tam bardzo wcześnie, nie skończył nawet szesnastu lat, kiedy go zapuszkowano. I kto na niego, niewinnego, doniósł, że łobazuje i kradnie? Własny ojczym! To wszystko przez tę cholerną wojnę z nazistami, bo wczesne dzieciństwo miał dobre. Kochani rodzice i on jedynak. Właśnie obchodził dziesiąte urodziny, kiedy ta swołocz, Hitler, napadł na Związek Rad i wtedy wszystko, co dobre, się skończyło. Ojca wzięli do Armii Czerwonej i już do domu nie wrócił. Podobno pod Stalingradem poległ, ale sąsiad szepetem twierdził, że z rąk politruka oddziału, który szedł za żołnierzami, a nie nazistami. Matka długo chodziła w żałobie, ale piękna była i dużo takich, co to na front nie poszli, bo z armii się wykupili, miało na nią oko. On jako dorastający chłopak musiał matki honoru bronić i starał

się, jak mógł, przejąć rolę ojca w gospodarstwie. Ale ciężko wtedy było. Nie powie, musiał czasem coś zwędzić, bo i o pieniądze nie było łatwo, i o jedzenie. Ten z zalotników matki najnamolniejszy, ale najbliższy bezpiece, któremu raz powiedział, że trupem go położy, jak się zbliży do ich domu, musiał na niego donieść. Tak mówili później inni więźniowie, że to pies bezpieki, i przysięgali, że bestia długo nie pożyje. W tym więzieniu, jak to w sowieckim więzieniu, było strasznie. Pewnie długo by tam nie pożył. Głód, robactwo, katorwanie bez powodu, ale jeszcze gorsze, że najpierw strażnicy, a potem inni więźniowie wzięliby go w obroty. Nawet nie idzie mówić, co się z takimi chłopakami jak on tam działo... Tygodnia by nie wytrzymał, gdyby nie schronił go pod swoje skrzydła niejaki Stary Jura, taki gość z najważniejszymi tatuażami z tej grupy, co się trzymała razem. Nazywali siebie „wory w prawie”, to znaczy złodzieje, dla których święte były zasady prawa, jakie między nimi panowało. Przestrzeganie tego własnego kodeksu było ich honorem. Wory w prawie to dopiero była więzienna arystokracja! Nawet strażnicy musieli się z nimi liczyć. Z więzienia trafił potem do łagru, gdzie więźniowie z głodu i wycieńczenia marli jak muchy, ale on dzięki Staremu Jurze zdążył już awansować wyżej w więźniarskiej hierarchii. Miał swoje sposoby, by strażników przekupić i więcej jedzenia wydrzeć dla siebie i innych worów. Nawet nie chce teraz wspominać, jak te lata prze-trwał, dość, że jeszcze w łagrze dostał gryps informujący, że kumple Starego Jury już postarali się, by matka Dawida po raz drugi została wdową. W ten sposób Dawid dowiedział się, że jednak miał ojczyma. Jak tylko brama więzienna się za nim zamknęła, to ten swołocz jeden

zmusił matkę, by za niego wyszła. Niedługo po tej wiadomości przyszła i druga nowina. Towarzysz Józef Wissarionowicz Stalin, Wielki Wódz nie żyje. Radość u niektórych była wielka, a u innych żałoba była wielka. Niektórzy zawodzili z żalu i nie usłyszeli, że politycznych więźniów będą wypuszczać na wolność. Stary Jura, sam ledwie od tygodnia w domu, już spoza więziennych murów tak zadziałał, że wraz z politycznymi także i Dawid wyszedł. Cztery lata go w domu nie było. Tak jakby z uniwersytetu po skończonych studiach z dyplomem wracał do domu. Był goły i wesoły, nie miał nic, ale wiedział, że go Stary Jura nie zostawi. Dawid na moment przerwał, zapalił papierosa i zaciągając się, powiedział ze śmiechem:

– To Stary Jura dał mi wykształcenie lepsze, niż by dali profesorowie na studiach. Powtarzał mi: „Nie daj nikomu być nad sobą, nie daj, by ktoś ci dyktował, co masz robić, trzymaj się zasad naszego złodziejskiego prawa...”.

Dawid czekał, jakie wrażenie to na mnie zrobi, a kiedy nic nie dałam po sobie poznać, figlarnie mrugnął i obwieścił:

– A w domu niespodzianka. Matka i... mała siostrzyczka.

Przyznał, że najpierw targnęła nim wściekłość i nienawiść, ale jak tylko ten kwiatusek do niego wyciągnął rączki, to wszystko przeszło. Mała była tak podobna do swojej, to znaczy jego, matki, że złość mu przeszła. Uznał, że dziewczynka poczęła się tylko z niej, ich wspólnej matki, bez udziału tego skurwiela. Po godzinie już go całkiem, wielkiego byka, okręciła ta kruszyna wokół swojego małego paluszka. I tak trwa już dwadzieścia parę lat. Najpierw rozpieszczali ją razem z matką. Od paru lat, od kiedy matka nie żyje, to on jest dla niej

nie tylko bratem, ale i matką, i ojcem. Tylko on. Ubóstwia ją i jej służy. Co tylko Natali, ta jego królowa Tamar*, największa władczyni Gruzji, chce – to ma. Zapragnie gwiazdki z nieba – proszę bardzo, stary Dawid stanie na palcach, sięgnie i poda. Dziewczynie zachce się mieć modne sandały – czujny Dawid zdobędzie! Spojrzał na mnie znacząco i zaczął się serdecznie śmiać. Nagle spoważniał i powiedział, że sama mam dowód, że to prawda. Tak jak i to, że drugą równie bliską mu osobą jest Asłan. A jeśli chodzi o „worowanie”, to oczywiście już dalekie czasy. Było, przeszło. Teraz od dawna jest porządnym obywatelem i zajmuje się tylko biznesem. Takimi interesami na dużą skalę, nawet międzynarodową.

Co sobie pomyślałam, to sobie pomyślałam. Za dużo puzzli już się ułożyło w mojej głowie, coraz kompletniejszy stawał się obraz tej układanki. Dawid, niezrażony moją powątpiewającą miną, perorował dalej, z przekonaniem dowodząc, że gdyby nie przedsiębiorczość Gruzinów, to z niedoborów wszystkiego cały Związek Rad by upadł. W rosyjskiej i w innych republikach – głód smród i ubóstwo. Sklepy puste, ludzie zastraszeni. Za to u nich – całkiem co innego. Jak co potrzeba, zaradny Gruzin i spod ziemi wytrząśnie. Gruzja to całkiem inny kraj niż całe Sowiety.

Choć niewiele poza Moskwą i Leningradem widziałam w ZSRR, to sądząc po tym, co wtedy zobaczyłam, musiałam przyznać Dawidowi rację. Co on, ten człowiek interesu, tak dokładnie robi, na czym

* Królowa Tamar (1160–1204) – najstarsza córka króla Gruzji Georgiosa III, po jego śmierci w 1184 r. objęła tron. Przez dwadzieścia lat jej panowania Gruzja stała się największą potęgą nie tylko na Kaukazie, ale i na całym Bliskim Wschodzie. Nazywana Królem Królów i Królową Królowych, a okres jej panowania – Złotym Wiekiem Gruzji.

polega ten jego „biznes”, nie spytałam. Przecież i tak prawdy mi nie powie, a przynajmniej nie nazwie swojej profesji po imieniu. Dawid chyba jednak mnie rozszyfrował, bo na moje niewypowiedziane pytanie odpowiedział:

– Lepiej za wiele nie wiedzieć i niepotrzebnie nie pytać.

Przemilczałam ten komentarz. Za to dość bezczelnie zagadnęłam, czemu się nie ożenił. Machnął ręką – a po co mu obca kobieta w domu? Sam gotuje lepiej niż każda z nich. No, może poza jego świętej pamięci matką. Wie, jak marynować baraninę na szaszłyki, a jakie robi gołąbki w liściach winogron! Niech no tylko spytam Asłana! Po co ma się żenić? Jak dotąd na widok żadnej baby serce mu nie drgnęło i nie sędzi, by tak się stało... Niech się inni żenią, jak chcą. O, właśnie wyprawia wesele swojemu kuzynowi z najlepszą przyjaciółką Natali. Rodzice tej dziewczyny, Nino, biedni, wesele kosztuje, posag też, a jak trzeba wyłożyć kasę, to wszyscy do niego. Dawid, ty nam pomożesz, Dawid, bracie, niedługo, kiedyś, nigdy oddamy. Szkoda gadać. Nagle Dawid przystanął i palną się dłonią w czoło.

– Przecież was nie zaprosiłem! Pomyślałem, że pojutrze jedziecie dalej, a gruzińskie wesele trwa długo. No tak się składa. Trudno. Ale nie! Musicie przyjść, choćby tylko na jeden dzień, choćby na parę godzin.

Gruzińskie wesele! Zabrzmiało bardzo kusząco. Prawdziwy folklor weselny, nie żadne tam cepeliowskie przedstawienie dla cudzoziemców. To dopiero byłoby coś! Podziękowałam, że o nas pomyślał, ale zaczęłam się krygować:

– Tak nie wypada, państwo młodzi nawet o nas nie wiedzą, skąd weźmiemy prezent ślubny i...

Piękny mafioso z Komitetu Centralnego

Dawid nawet nie chciał słyszeć o odmowie, zapewniając, że już my sami będziemy prezentem, bo gość z obcego kraju na weselu to dobra wróżba dla nowożeńców. Uważając, że już złamał moje opory, dodał, że przeprasza, ale powinien mi to powiedzieć. Po co mają nas wziąć na języki – Gruzini to tradycyjni ludzie. Żadnej golizny, on mi przyniesie od Natali chustę albo dłuższą spódnicę. No i nie powinniśmy tak się z mężem publicznie przytulać czy obejmować... Tym rozśmieszył mnie do łez. Mój nieskory do wylewności mąż tylko z rzadka, jak już sobie przypomni, z jakiego to tytułu jest nasza podróż, zdobywał się na jakiś umiarkowany męsko-damski gest czułości. Coś w stylu „stare, dobre małżeństwo”. I to już wydawało się w Gruzji gorszące? W odpowiedzi na ostrzeżenie Dawida, mające ochronić nas przed skandalem obyczajowym, zapytałam wyzywająco, co w takim razie sądzi się tu o jego trzymaniu się za rączkę i obejmowaniu Asłana? Dawid niezmiśniony wyjaśnił, że między mężczyznami to co innego, to wyraz przyjaźni. Taka męska przyjaźń to najważniejsze, co może spotkać w życiu. Ja jednak, nieco złośliwie, drążyłam temat dalej.

– Nikt, przepraszam, nie dośpiewa sobie, że to może być coś więcej?

Dawid, nie patrząc na mnie, mruknął, że to dopiero byłby skandal. Nagle głos mu zhardział:

– Na „coś więcej” mogą tu odważyć się albo straceńcy, albo... Albo ci, którzy są ponad innymi, którym wszystko tu wolno.

Kowal skończył naprawę zepsutej części i stwierdził, że wołga to maszyna uniwersalna, nie różni się od traktora, to i on sobie poradził. Niestety, zrobiło się już za późno, żeby jechać dalej w góry, nie mówiąc o tym, że sukces techniczny należało uczcić czaczą. Dobrze, że

Piękny mafioso z KC

było wystarczająco ciemno, aby ukryć stromiznę i wąłość poboczy powrotnej drogi w dół...

CIĄG DALSZY DOSTĘPNY W PEŁNEJ WERSJI

Copyright © Anna Kalinowska 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki: Anna Kalinowska i Sylwia Krzemianowska

Fotografiki: Janusz Radziejowski (ze zdjęć z archiwum autorki)

Redakcja: Milena Napiórkowska

Korekta: ERATO

DTP: Graph-Sign

BookEdit

tel.: 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

<https://www.facebook.com/BookEditpl>

<https://instagram.com/bookedit.pl>

BookEdit

ISBN 978-83-67539-49-4

[Kup książkę](#)

Tak się składało, że w latach 70. i 80. zeszłego stulecia moje podróże prywatne i wyprawy przyrodnicze w kręgu krajów realnego socjalizmu obfitowały w nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, aranżując spotkania i sytuacje możliwe tylko na obszarach pod sowiecką dominacją. Dziś z perspektywy co młodszych czytelników niewątpliwie „egzotyczne”!

Dramatyczne losy ludzi i absurdy codzienności z pogranicza czarnego humoru niczym sceny z filmu przygodowego przesączone przez filtr czasu tworzą rodzaj pamiętnika złożonego z opowiadań–reportaży osadzonych w scenerii miejsca akcji: w radzieckich republikach **Gruzji** oraz **Armenii**, na **syberyjskich krańcach ZSRR**, za kołem polarnym na granicy **Finlandii i ZSRR**, jak i w **Mongolii** oraz na **Kubie**.

Przy okazji, z zawodowego nawyku, przemycam „coś z przyrody”, a wiele wątków tych opowiadań ma, zaskakujący, ciąg dalszy w czasach już po transformacji w Polsce.

Czy warto wracać do wspomnień z „bloku wschodniego” w trzydzieści parę lat po zakończeniu tamtej epoki? Wielka historia składa się z małych epizodów – jeśli nieopatrznie nieopowiedziane wymazują realia czasów „słusznie minionych” z pamięci zbiorowej.

W konsekwencji cichną sygnały ostrzegawcze.

Agresja rosyjska na Ukrainę świadczy, że koniec „imperium zła” był tylko pozorny, co dodaje opowiadaniom ponurej aktualności.

Niech więc nie zmyli Czytelnika lekki ton narracji...

Akalinowska

O autorce

fot. Janusz Radziejowski



Anna Kalinowska – dr nauk przyrodniczych, ponad ćwierć wieku kierowała na Uniwersytecie Warszawskim Centrum Badań nad Środowiskiem Przyrodniczym i Zrównoważonym Rozwojem, ekspert Światowej Unii Ochrony Przyrody IUCN, Człowiek Roku Ekologii 2002 i laureatka Zielonych Orłów Rzeczypospolitej 2021.

Autorka książek popularno-naukowych z dziedziny ekologii i ochrony środowiska (m.in. *Ekologia wybór przyszłości*) książek dla dzieci (*Lato nad Narwią*, *Łaskotani chrapąszcza wąsami*) oraz powieści *Krótką smycz*. Jej zbiór opowiadań *Uciec w Himalaje* (nagroda Magellana 2020) przedstawia fenomen lat 80 – masowych wypraw z PRL-u do Azji i zarazem odsłania podróżniczą pasję autorki, która była na niemal wszystkich kontynentach przemierzając się także balonem i psim zaprzęgiem. Tym razem zaprasza w podróż do krajów dawnego bloku wschodniego lat 70 i 80 XX wieku.

[Kup książkę](#)